



Jacques Verlinde

Majowa wizyta Jacquesa Verlinde w Polsce jest już trzecią wizytą francuskiego mnicha, założyciela wspólnoty Rodzina Świętego Józefa*. Tym razem będzie on gościem kolejnego Czuwania Odnowy w Duchu Świętym.

W wywiadzie telewizyjnym, jakiego udzielił podczas pierwszego pobytu, Jacques Verlinde powiedział m.in.: „Pojechałem na Wschód, aby spróbować odnaleźć tam moją drogę duchową. Spotkałem tam boskość, ale nie spotkałem Boga (...). Byłem głęboko chory w moim duchu, duszy i ciele. We wszystkich wymiarach mojego bytu byłem zraniony i chory na skutek wszystkich moich zbłądzeń. Pan mnie uzdrowił i wskrzesił i myślę, że teraz wymaga ode mnie, abym był świadkiem i kanałem tego miłosierdzia, z którego sam skorzystałem.” Poniżej zamieszczamy rozmowę z ojcem Jacquesem Verlinde, w której mówi o tym, czym jest prawdziwa, głęboka modlitwa chrześcijańska.

ŚWIĘTOŚĆ TO NIE SZUKANIE LUDZKIEJ DOSKONAŁOŚCI

- Czy Ojciec lubi się modlić?

- Jeśli chodzi o sferę odczuwalną, to jestem chyba jak wszyscy: lubię się modlić, gdy Pan Bóg daje mi pociechy, a gdy zsyła na mnie strapienia, modlitwa staje się walką. Natomiast na poziomie duchowym, na poziomie woli, mogę powiedzieć, że tak, lubię się modlić, bo modlitwa jest tym miejscem, gdzie mogę spotkać Boga, gdzie mogę zaświadczyć o mojej miłości do Niego i przyjąć Jego miłość. Modlitwa jest posłuszeństwem Słowu Bożemu, a posłuszeństwo jest najlepszym świadectwem miłości.

- Jak Ojciec się modli?

- Są różne formy modlitwy. Ponieważ jestem zakonnikiem, modlitwa liturgiczna zajmuje dużo miejsca w moim życiu, ale w naszej wspólnocie poświęcamy też dużo miejsca adoracji Najświętszego Sakramentu.

Myszę, że w dzisiejszym świecie obojętności i pokus fakt, że mężczyźni i kobiety trwają nieustannie przed Panem, który jest obecny pod postacią prostej Hostii, wydaje mi się czymś bardzo ważnym. Adoracja Boga w pokorze Jego Eucharystycznej obecności jest uniżeniem się człowieka przed chwałą i wspaniałomyślnością Boga, ukrytego w tak wielkim ubóstwie.

Adoracja zajmuje więc ważne miejsce, będąc także sposobem wynagradzania. Na-

wiażujemy tu do objawień Serca Jezusa w Paray-le-Monial, gdzie Jezus prosił św. Małgorzatę-Marię Alacoque o odprawianie nabożeństw wynagradzających, tzn. wynagradzanie miłością Jezusowi za tych wszystkich, którzy Go nie kochają, są obojętni, obrażają Go i odrzucają. Jest w tym też obecna skarga św. Franciszka, że „Miłość nie jest kochana”. Chcemy więc kochać Miłość, wynagradzając wszelką obojętność, która Ją rani.

Jest też modlitwa wewnętrzna, która jest trwaniem sercem przy Sercu Boga i która jest czymś innym niż adoracja. Polega na tym, aby trwać w milczeniu przed Tym, który może wszystko uczynić w moim życiu i który chce mnie uświęcić. Staję przed Nim w milczeniu, aby pozwolić Mu wypełnić dzieło zbawienia i miłosierdzia w moim sercu.

Pamiętając także o tym, że kiedy mnich trwa przed Bogiem, nie stoi przed Nim tylko we własnym imieniu, ale spełnia posługę modlitwy w imieniu całego Kościoła. Przyjmuje łaskę Bożą w imieniu wszystkich braci i sióstr. W całym życiu monastycznym istnieje wymiar samotności. Mnich opuszcza świat nie po to, aby się odseparować od innych ludzi, ale by lepiej wstawić się za nimi. Można powiedzieć, że w powołaniu apostołskim niesiemy Boga do ludzi, natomiast w powołaniu kontemplacyjnym nie-

siemy ludzi do Boga. Zatem modlitwa jest zawsze tym, co mnie napędza.

Modlitwa Maryjna także zajmuje ważne miejsce w naszym życiu. W naszych domach zakonnych odmawiamy codziennie różaniec, aby wnieść się do Jezusa przez pośrednictwo Maryi, tej która najlepiej знаła Jego Serce.

- Gdy jednak z zewnątrz popatrzymy na osobę, która w milczeniu trwa przed „milczącym” Najświętszym Sakramentem, możemy sobie zadać pytanie, co ona właściwie robi? Na czym polega taka modlitwa?

- Idealem jest to, by nic nie robić... O tym wymiarze milczenia św. Jan od Krzyża mówi, że Bóg w wieczności wypowiada swoje jedyne Słowo, a jest nim Jego Syn Umiłowany. A czy jest coś bardziej intensywnego niż rodzenie Syna i odpowiedź miłości jaką On daje Ojcu? Jest to dialog tak intensywny, iż tylko milczenie może go w pełni wyrazić. Myszę, że modlitwa jest próbą wejścia w tę intensywność milczenia, w którym Ojciec rodzi mnie i czyni ze mnie syna. A ja odpowiadam Mu tym samym milczeniem, z jakim Syn powraca do Ojca. Syn jest Eucharystią, cały jest dziękczynieniem. Tak jak w dialogu wypowiadamy słowa, aby wyrazić rzeczywistość jaką żyjemy. Zakochani dochodzą do momentu, w którym

nie potrzebują już słów, bo jednym spojrzeniem, samą obecnością, udzielają się sobie wzajemnie.

Słowo jest nośnikiem, mostem jaki przetrucamy między dwiema osobami. Ale są momenty, gdy ta komunია jest tak intensywna, że dwie osoby obdarowują się sobą w jednym spojrzeniu, przez prostą obecność. To jest tajemnica Trójcy Przenajświętszej. Myślę, że coś z tej tajemnicy wydarza się w czasie modlitwy. Bo modlitwa zawsze jest dziełem Ducha Świętego. Jak mówi św. Paweł, my sami nie potrafimy się modlić, to Duch Święty modli się w nas. Zatem w modlitwie to Duch Święty wprowadza nas w ten milczący dialog między Ojcem i Synem. Oczywiście, taki jest punkt dojścia. My, tak jak w każdym dialogu zakochanych, zaczynamy od zwrócenia się do osoby, którą kochamy i rozmawiania z nią. Słowa są tylko drogą do tego milczenia, które samo w sobie nie jest pustką, ale pełnią.

Co trzeba robić? Trzeba stanąć w obecności Tego, który jest zawsze obecny; obecny w tym akcie miłości z jaką mnie stwarza w każdej chwili. Trzeba spróbować opuścić cały ten zewnętrzny wymiar, w którym jestem zanurzony przez moje aktywne życie i spróbować spotkać tę milczącą obecność Boga, który nieustannie podtrzymuje moje istnienie swoją miłością i osiągnąć tej miłości u samego źródła.

- Czy zatem wschodnie techniki medytacji nie mogą nam pomóc wejść w to milczenie? Czy nie mogą pomóc uwolnić się od myśli, napięć, aby wejść w postawę milczenia, w ten sposób pomagając nam w modlitwie?

- Prawdą jest, że mnich wschodni jest wielkim poszukiwaczem Boga i wie, że powinien Go szukać w milczeniu. Dlatego też wszystkie techniki jakich używa mają na celu zwrócenie go ku jego wnętrzu; oddala się od tego, co zewnętrzne, by coraz głębiej zanurzyć się w swoim wnętrzu. Jednak dla nas, chrześcijan, problem polega na tym, że ta wewnętrzność ma charakter całkowicie bezosobowy, jest pustką - jeśli można tak powiedzieć. To zwrócenie się ku wnętrzu i milczenie nie prowadzi do dialogu, jest to wejście w milczenie absolutne. Celem technik wschodnich jest zjednoczenie się z najbardziej fundamentalnym aktem istnienia, który ma charakter bezosobowy. Nie ma więc tu miejsca na dialog z Bogiem. W technikach wschodnich istnieje wymiar milczenia, nawet milczenia absolutnego, który jednak prowadzi do doświadczenia absolutnej samotności.

W wypadku modlitwy chrześcijańskiej nie chodzi o doświadczenie milczenia samotności, ale milczenia, które jest pełnią, w

którym nie potrzeba już słów. Chodzi tu więc o coś zupełnie innego. Dlatego w przypadku modlitwy chrześcijańskiej nie można mówić o technikach w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo jeśli milczenie, o którym mówimy, jest pełnią miłości między dwiema osobami, nie może być mowy o technikach. Nie można mówić o technikach w miłości, która jest więzią dwóch osób, które z całą wolnością chcą być ze sobą.

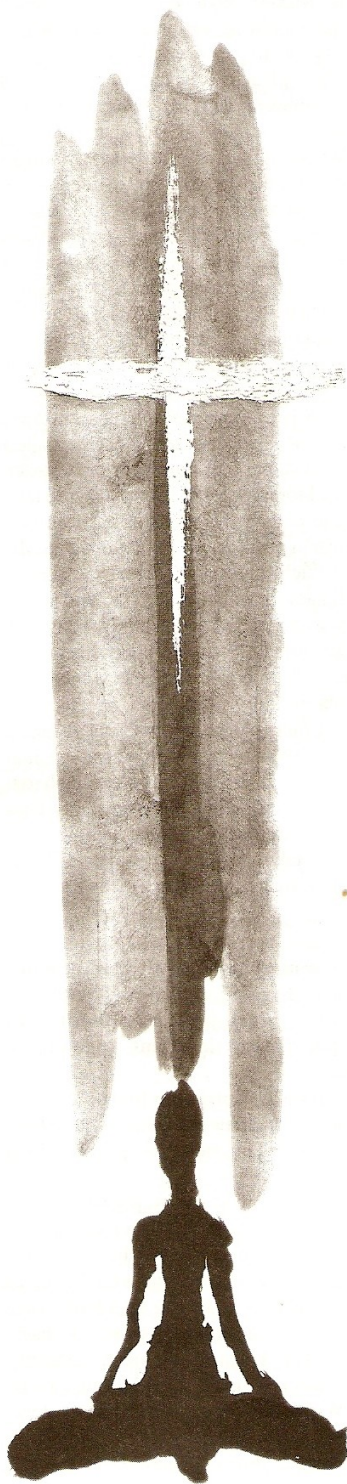
Można natomiast mówić o pewnych metodach chrześcijańskich, pomagających nam przygotować się do tego osobistego spotkania, którym jednak ja nigdy nie będę mógł zawładnąć, bo inicjatywa należy do Boga, na którego czekam...

- Ale czy po tak długim doświadczeniu używania technik wschodnich nie ma Ojciec czasem ochoty, by do nich wrócić w czasie modlitwy? Czy siła przyzwyczajenia nie odgrywa tu jakiejś roli?

- To prawda, moje nawrócenie trwało długo... Są momenty, gdy Pan nas prowadzi na pustynię - by stać się Oblubieńcem naszej duszy - i trzeba nauczyć się ten czas przetrwać. Właśnie wtedy może pojawić się wielka pokusa, by sięgnąć po techniki i samemu dostarczyć sobie jakiegos doświadczenia duchowego.

Muszę przyznać, że zaraz po moim nawróceniu, wiele razy ulegałem tej pokusie. I nie waham się mówić tu o pokusie, bo za każdym razem, gdy wydawało mi się, że udało mi się włączyć techniki Wschodu w osobiste spotkanie z Bogiem, uświadamiałem sobie, że byłem w błędzie. Bo bardzo szybko, od nowa dawałem się zafascynować temu doświadczeniu pustki, to znaczy temu naturalnemu odprężeniu, płynącemu z doświadczenia absolutnej samotności, która jest pozbawiona wszelkiego wymiaru osobowego czy międzyosobowego. To doświadczenie absolutnej samotności jest na tyle fascynujące, że druga osoba nie jest nam już potrzebna, staje się jakby intruzem. Gdy sobie to uświadamiałem, musiałem robić wysiłek, by wrócić do postawy dialogu, do postawy ubogiego, który oczekuje, by zostać napełnionym przez drugą Osobę.

Zauważyłem także - jest to moje własne doświadczenie - że gdy wracałem do technik wschodnich, bardzo szybko takie formy modlitwy jak adoracja czy modlitwa wewnętrzna wydawały mi się pozbawione sensu. Szczególnie adoracja - po co trwać przed Najświętszym Sakramentem, jeśli stosując techniki medytacji sam mogłem sobie dostarczyć doświadczenia absolutu, na temat którego w dodatku Jezus nic nie mówił. Rodziło się we mnie niepokojące pytanie: "Po co w takim razie przyszedł Jezus? Jak Jezus może być moim Zbawicielem, jeśli ja sam



rys. Maciej Rybicki

mogę osiągnąć komunii z Bogiem, bez Niego?"

Na Wschodzie nigdy nie mówi się o zbawieniu. Mówi się o iluminacji, ale nie o zbawieniu. W chrześcijaństwie natomiast, do komunii z Bogiem dochodzimy tylko przez Chrystusa, który sam o sobie mówi: "Ja jestem drogą, prawdą i życiem". Na Wschodzie takie stwierdzenie nie ma żadnego sensu. Według ich koncepcji, człowiek przez samą istotę swojego bytu zakorzeniony jest w Bogu. Jestem więc Bogiem przez moją naturę, tylko żyję na poziomie świadomości tak bardzo odległym, że nic nie wiem na temat mojej własnej natury; żyję iluzją mojej osobowej indywidualności.

Inaczej mówiąc, w religiach wschodu nie ma potrzeby zbawienia, a w związku z tym, nie ma też miejsca dla Chrystusa-Zbawiciela.



fot. Jakub Choczewski

I tu leży fundamentalny wybór, jakiego trzeba dokonać: albo jestem zbawiony przez Chrystusa, który otwiera mi drogę do Boga osobowego; albo nie ma potrzeby zbawienia, bo to, co boskie, jest już obecne we mnie, u samej podstawy mojego bytu, a drogą do tego jest tu przekroczenie iluzji własnej osobowej indywidualności. Zatem obie te drogi nie dadzą się ze sobą pogodzić.

- Czy to znaczy, że po swoim nawróceniu musiał się Ojciec od nowa nauczyć modlić?

- To prawda. Nawrócenie wymagało ode mnie nie tylko odrzucenia tradycji wschodniej, ale także odnalezienia na nowo modlitwy chrześcijańskiej. Byłem wychowany po chrześcijańsku i muszę powiedzieć, że w młodości miałem już za sobą doświadczenie intensywnych momentów bycia z Panem. Modliłem się wtedy, nie wiedząc nawet dobrze, że jest to modlitwa. Pamiętam, że trwałem w Jego obecności i to mi najzu-

pełniej wystarczało. Myślę, że było to doświadczenie modlitwy wewnętrznej, choć o tym nie wiedziałem. Modliłem się też wtedy do Maryi... Wydaje mi się, że to Duch Święty modlił się we mnie. I nie ma w tym nic oryginalnego, bo wszyscy chrześcijanie otrzymują Ducha Świętego z łaską Chrztu św., zatem wszyscy chrześcijanie otrzymują też dar modlitwy.

Wydaje mi się, że w momencie nawrócenia powrót do Chrystusa może dokonać się tylko pod tchnieniem Ducha Świętego; a więc wrócić do Ojca i Syna przez Ducha Świętego to przyjąć na nowo modlitwę w swoim życiu. Nie chcę przez to powiedzieć, że jest to łatwe, ale wydaje mi się, że fundamentalną postawą w modlitwie jest postawa ubóstwa, pokora ubogiego, który wie, że wszystko otrzymuje od Boga. Oczywiście w momencie nawrócenia trzeba zostawić przeszłość, ale jednocześnie zachycająca jest radykalność tej nowej rzeczywistości, wobec której jesteśmy tak bardzo ubodzy i być może dlatego bardziej na nią otwarci.

Jestem przekonany, że modlitwa jest dla wszystkich chrześcijan, tylko - jak mawiał św. Ignacy - problem polega na tym, jak się w nią wchodzi. Jeśli zaczynam modlitwę w sposób automatyczny, wtedy potrzebne mi są techniki. Ale jeśli wchodzę w modlitwę jak ubogi, który przychodzi, by pukać do drzwi Umiłowanego, z pewnością, że On go słyszy i gdy błagam o Jego miłość i rozmawiam z Nim, niezależnie od wszystkich rozproszeń, i jeśli moje serce jest cały czas zwrócone do Niego - wtedy naprawdę się modlę i taka modlitwa przemienia mnie; kończę ją będąc już inny niż kiedy zaczynałem.

- Czy można więc powiedzieć, że w modlitwie chrześcijańskiej najistotniejsze jest spotkanie mojego „ja” z Boskim TY? Ale jak spotkać się z kimś, kogo nie widzimy?

- Myślę, że wołając do Niego: "Jezu, jeśli istniejesz, objaw się memu sercu". Oczywiście nie objawi się nam w postaci jakiejś wizji.

Z drugiej jednak strony, jest jakaś głęboka prawda w stwierdzeniu Jezusa: *Dobrze jest dla was, abym odszedł*, bo inaczej nasza relacja z Bogiem zatrzymałaby się na tym zewnętrznym wymiarze. A tymczasem Bóg chce się nam udzielić w sposób znacznie głębszy i bogatszy, chce nam dać pełnię, jakiej nie może nam dać żadna ludzka relacja. Wszystkie ludzkie relacje, dzięki sferze zmysłów zewnętrznych, stają się łatwiejsze, ale z drugiej strony to właśnie one stanowią ich ograniczenie. Któż z nas nie spotkał zakochanych, którzy pragną jak najciszejzego ze sobą zjednoczenia. A jednak w głębi

serca każdego człowieka, także męża i żony, istnieje obszar, który może napełnić tylko Bóg. I Bóg odpowiada na to najgłębsze pragnienie ludzkiego serca, pokonując ograniczenie zmysłów zewnętrznych. Jest tu więc pewien absolut miłości Bożej, który możemy uchwycić właśnie w modlitwie.

- Po całym tym doświadczeniu, które Ojciec przeszedł, co dla Ojca znaczy być świętym?

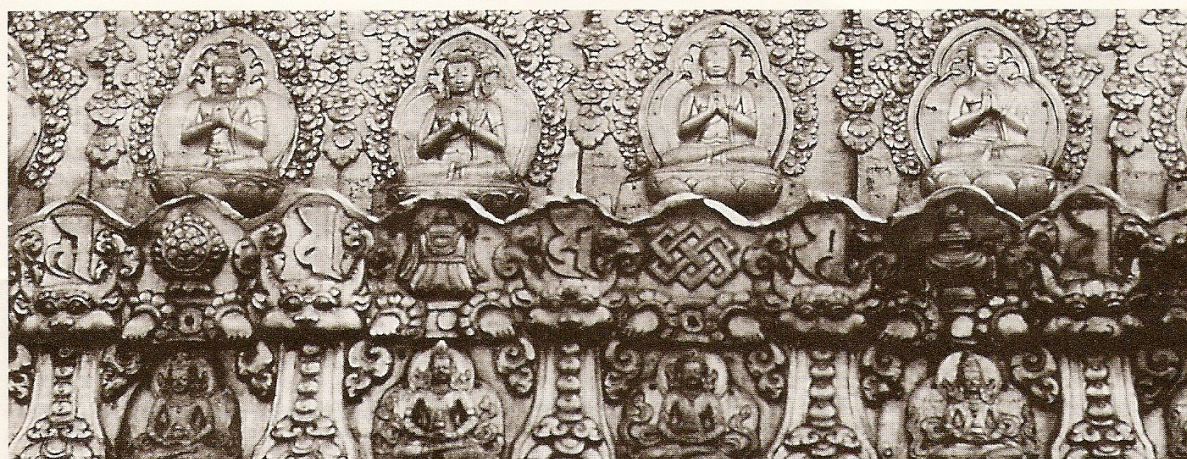
- Znaczy to uczestniczyć w życiu samego Boga, mieć udział w Duchu Świętości. Może to przypominać cytaty z książki, ale wydaje mi się, że tylko Bóg jest święty i uświęca nas o tyle, o ile przyjmujemy jego obecność. Myślę, że świętość to dzieło Boga w nas, to uczestnictwo w Jego życiu.

- Ale czy to znaczy, że święty zawsze musi być łagodny, dobry, mądry...? Czy święty może wpaść w gniew?

- Nie należy utożsamiać świętości z doskonałością i myślę, że na tym polega nasza szansa w chrześcijaństwie. Ale to nie może też być usprawiedliwieniem wszystkich naszych stanów. Myślę jednak, że w porównaniu ze Wschodem istnieje tu wyraźna różnica. Świętość chrześcijańska nie jest szukaniem ludzkiej doskonałości. Bo jeśli świętość jest przyjęciem Ducha Świętego, to może współistnieć z ograniczeniami ludzkiego charakteru, naznaczonego konsekwencjami grzechu pierworodnego. Zresztą wydaje się, że Panu Bogu sprawia wyjątkową przyjemność uświęcanie osób, których niektóre cechy charakteru nie były zbyt łatwe. Łaska nie usuwa natury, ale ją przemienia.

Gdy patrzymy na świętych chrześcijańskich, uderzające jest to, że nie zajmowali się zbyt wiele swoją własną doskonałością ani swoją świętością. Troskę o własną świętość pozostawiają Bogu, bo zrozumieli, że do świętości dochodzi się przez zjednoczenie z Bogiem, który sam jest święty. Wschód jest znacznie bardziej skoncentrowany na jednostce i jej doskonałości. Wschodni mędrcy są tym, kto doskonale i w całej pełni panuje nad wszystkimi wymiarami swego życia. Natomiast u niektórych świętych chrześcijańskich spotykamy się z przejawami ich trudnego charakteru np. niecierpliwością czy wręcz gniewem.

W chrześcijaństwie świętość jest darem Bożym, który odrywa mnie od siebie, a więc także od troski o moją własną świętość, zwracając mnie ku Bogu i służbie bliźnim. Oczywiście, jeśli Duch Święty coraz bardziej zamieszkuje serce człowieka, będzie też coraz bardziej wyglądał chropowatości charakteru i wykorzeniał to wszystko, co jest niedoskonałe w naturze człowieka. Ale, gdy Jezus mówi: *Bądźcie doskonali, jak wasz*



fot. Jakub Choczewski

Ojciec jest doskonały - znaczy to „Bądźcie miłosierni jak wasz Ojciec jest miłosierny”. Nasza doskonałość i droga do świętości polega na przyjęciu miłosierdzia i przekazywaniu miłosierdzia. Zatem doskonałość chrześcijańska jest konsekwencją wejścia Ducha Świętego w nasze życie, a nie jego warunkiem. Jeśli ktoś chce czekać aż stanie się doskonały, aby przyjąć Ducha Świętego, istnieje ryzyko, że będzie musiał długo czekać.

- I ostatnie już pytanie, co Ojciec chciałby powiedzieć tym wszystkim, którzy szukają Boga?

- Aby pozwolili Mu się znaleźć... by pozwolili się znaleźć Jezusowi, który przyszedł jako Dobry Pasterz właśnie po to, by nas wprowadzić w tę pełnię, której wszyscy szukamy.

Myszę, że szukanie Boga jest owocem łaski uprzedzającej: to sam Bóg składa w naszym sercu pragnienie, aby go spotkać. Nie możemy znaleźć Boga, jeśli w naszym sercu nie ma głębokiego pragnienia. I czasem znamy go już, bo Duch Święty objawia się wszystkim ludzkim sercom, sprawiając, że znamy Go poznaniem niepełnym, intuicyjnym i pragniemy Go. Jesteśmy więc ludźmi pragnienia, bo to jest w nas wpisane.

Tym wszystkim, którzy usłyszeli w sobie to pragnienie, chciałbym powiedzieć, aby pozwolili się znaleźć Jezusowi, bo On przyszedł, aby odpowiedzieć na wołanie człowieka.

rozmawiała Mariola Orzepowska
/wywiad nie autoryzowany/

*Ojciec Verlinde jest założycielem nowej wspólnoty zakonnej, która istnieje od 1991 roku i nazywa się Rodzina Świętego Józefa. Imię zakonne ojca Jacquesa Verlinde brzmi Joseph-Marie.

Należę do ludzi, którzy spragnieni mistycznego doświadczenia szukają go na tropach religii azjatyckich, a mianowicie w zen. Od roku 1966 poświęciłem studiowaniu medytacji zen, a przede wszystkim ćwiczeniom w niej, wiele czasu, uprawiając ją przez jedną do siedmiu godzin dziennie.

Stwierdziłem, że jest to bardzo przyjemny sposób modlitwy. Nie zabrakło mi doświadczeń, które mnie uszczęśliwiał. To cudowne uczucie - przeżywać jedność wszystkiego co stworzone: wzniesienie się ponad wszelkie przeciwieństwa napełniało mnie rozkoszą. Wyrastało we mnie stopniowo coś nowego i wywierało na mnie głęboki wpływ. Czułem, jak stałem się innym człowiekiem: nieoczekiwana równowaga i spokój z niezwykle jasnym spojrzeniem i ogromną życzliwością dla wszystkich i wszystkiego. Miałem świadomość wspinania się coraz wyżej po stopniach mistycznego doświadczenia: za każdym krokiem światło stawało się silniejsze, a widok dookoła coraz bardziej fascynujący. Ale nie spostrzegłem, że robi się coraz zimniej.

Stopniowo bowiem coś niepostrzeżenie traciłem. A kiedy to coś stopniowo znikało z mojego pola widzenia, nie odczuwałem jego braku i zapewne już nigdy bym nie myślał o tym, żeby go szukać - gdyby w pewnym momencie samo nie dało o sobie znać. Co to było? Bóg. Nie Bóg filozofów, przaprzyczyna naszego istnienia, w którym żyjemy, poruszamy się i jesteśmy, z tym bowiem coraz bardziej sam się identyfikowałem, lecz Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba, Ojciec naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Właśnie to doświadczenie wywarło na mnie wpływ trwały i głęboki, a zarazem zawstydzający. Nagle uświadomiłem sobie całkiem jasno, jak dalece byłem w błędzie, utożsamiając żywego Boga Przymierza z bezimienną przaprzyczyną. Zrozumiałem, że medytacji zen nie można właściwie nazywać "modlitwą". Modlitwa bowiem jest ze swej istoty wyrazem stosunku do umiłowanego "Ty", do Boga, naszego Ojca, gdy tymczasem medytacja zen jest w gruncie rzeczy niczym innym jak techniką służącą osiągnięciu kosmicznego i religijnego doświadczenia głębi, przy czym słowo "religijny" nie jest tu rozumiane w tym znaczeniu, jakoby te doświadczenia miały cokolwiek wspólnego z jakąś religią, której punktem odniesienia jest Bóg - jak o tym świadczy stwierdzenie wypowiedziane przez samych mnichów uprawiających ten rodzaj medytacji: zen jest religią bez Boga.

Thomas Jurgens /flamandzki trapista/
w: Alfred Lapple, "Powróćmy do modlitwy", Wyd. M, 1991